

GAZETA ŚWIĄTECZNA.

Wychodzi w Warszawie na każdą Niedzielę.

Cena Gazety Świątecznej:

w Warszawie:		w innych miejscowościach z przesyłką do ostatniej poczty:	
Na rok cały	2 ruble	Na rok cały	3 ruble
" pół roku	1 rubel	" pół roku	1 r. i 50 k.
" ćwierć roku	pół rubla	" ćwierć roku	75 k.

Za odnośnienie Gazety do domów w Warszawie dopłaca się 5 kop. na miesiąc.

Zamówienia i pieniądze na Gazetę Świąteczną wysyłać należy do **KONRADA PRÓSZYŃSKIEGO**, pisarza, redaktora i wydawcy téżże Gazety w Warszawie, w domu z wejściem pod liczbą 11 od Placu Tzech Krzyży (gdzie kościół S. Aleksandra) przy rogu ulicy Wspólnej.

Numer pojedynczy Gazety Świątecznej kosztuje kopiejek 5, a z przesyłką pocztą kop. 7.

Za ogłoszenia płaci się od drobnego wiersza, lub miejsca, jakie on zajmuje: na stronie granicznej gźbietem ze stroną pierwszą po 50 kopiejek; na stronie zaś dodatkowej po 25 kopiejek. — Małe ogłoszenia stałych czytelników Gazety S. darmo.

Utworky wykończane w Gazecie S. są własnością redakcji, więc tylko za jej przyzwoleniem przedrukowywane być mogą. Rękopismów nie zwraca się.

Zabezpieczanie od Wilgoci i Krycie Budynków.

Zdarzyło się nam niedawno gdzieś posłyszeć czy wyczytać radę, żeby gospodarze kryli swe chałupy blachą żelazną. Niejednego pewnie ta rada ubawiła, rozśmieszyła. I naprawdę, ubawić tylko mogła, nie zgorzyć i nie zaszkodzić nikomu. Boć niema obawy, żeby chałupy po wioskach żelazem pobijano.

Żelazo dobre jest do krycia budowli wysokich, naprzykład kamienie i kościołów. Ale dla zwykłych budowli wiejskich ma dwie wielkie wady. Oto najpierw dach żelazny jest bardzo kosztowny. Nie dosyć, że sama blacha jest droga, ale łatwo ją rdza przegryza i dziurawi; aby zaś ją od zniszczenia uchronić, trzeba dobrze pomalować farbą olejną, i od czasu do czasu malowanie to odnawiać, co także kosztuje drogo. Drugą po kosztowności, a jeszcze ważniejszą wadą dachu żelaznego jest to, że nie chroni od zimna podczas mrozów, ani od skwaru podczas upałów. Przebywanie pod blachą namrożoną, czy znowu rozpaloną jest dla ludzi i żywności niezdrowe i niebezpieczne. Obok tych wad, ma jednak blacha żelazna i zalety. Po-

Budowle z piasku

postawione według wskazówek Gazety Świątecznej.



Dom Antoniego Wawrzyńczaka w Dąbkowicach pod Łowiczem, zbudowany z piasku w roku 1900 przez samouka Wawrzyńca Kierusa, czytelnika Gazety Świątecznej, długi 36 łokci i 6 cali, szeroki 10 ł. 18 c., wysoki do pułapu 4 ł. 15 c. Mur zewnętrzny gruby 22 cale; cztery ściany poprzeczne wewnątrz, również piaskowe, mają po 18 cali grubości.



Obory, stajnia, dół i kurnik dla gęsi tegoż gospodarza w Dąbkowicach, pobudowane z piasku pod jedną stęchą przez W. Kierusa w roku 1900. Grubość muru i czterech ścian poprzecznych wewnątrz taka sama jak w domu powyższym. Długość tego budynku 42 łokcie i 12 cali, szerokość 11 ł., wysokość zrębu 4 ł. i 12 c.

Na obydwie te budynki razem wyszło: piasku 560 fur, wapna półtora wagonu czyli około 150 korcy, za 162 ruble i 60 kopiejek; kamieni na fundamenty za 70 rubli, belek za 82 r., krokwi za 30 r., desek i legarów pod podłogę za 118 r., łat za 36 r., futryn do okien i drzwi za 28 r. 75 k., desek na drzwi za 16 r., futryn i drzwi do obór i stajni za 24 r., okuć za 22 r. 45 k., gwoździ za 15 r. 18 k., cementu za 15 r., cegły za 14 r., kafla na piec za 28 r., szkła do okien za 6 r., robota kosztowała 270 r. Wszystko razem, oprócz furmanek do piasku i żywności robotników, wyniosło 874 r. 98 k.

krycie z niej jest lekkie, więc i wiązanie dachowe pod nią może być też lekkie, zrobione z niezbyt wielkiej ilości drzewa. Przymiemy blacha żelazna nieźle chroni od ognia, bo nie zapala się od iskier pobliskiego pożaru, a od płomieni zapala się z trudnością i nieprędko.

Niektórym się wydaje, że blacha cynkowa na dachy jest lepsza od żelaznej, bo nie psuje się tak od powietrza i wilgoci, i malować jej nie trzeba. Ale za to jest ona droższa od żelaznej; a od ognia daleko mniej chroni, i nie tylko łatwiej się zapala w razie pożaru w pobliżu, ale topnieje w ogniu, wtedy zaś kapie jakby deszcz ognisty, utrudnia ludziom ratunek i przyspiesza zapalenie się dolnych części budowli.

Pod względem bezpieczeństwa co do ognia, na równi z blachą cynkową, a nawet wyżej od niej znawcy stawiają, to jest za lepszą uważają — tekturę smołową czyli asfaltową, to jest gruby papier asfaltowy, ten sam, którego należy używać pod mur, aby nie dopuszczał do niego wilgoci z fundamentów. Spzedają go na łokcie, albo całymi zwiwkami, w płótnach tak szerokich i zwiniętych, jak płótno albo sukno. Zowią zaś często nieładnie i niewłaściwie, bo z niemiecka, „papa”. Smołowiec czyli asfalt jest to rodzaj smoly: tak samo się topi na ogniu, może podobnież się palić, jest czarny, i wydaje zapach przypominający smołę. Wydobywa się on

jednak nie z drzew, tylko z ziemi w niektórych okolicach świata. Czysty smołowiec znajdują na brzegach jeziora w Ziemi Świętej zwanego Morzem Martwym, które powstało na miejscu zniszczonych i zapadłych niegdyś miast, Sodomy i Gomor. Także czysty smołowiec jest na niektórych wyspach Antylskich w Ameryce, a szczególnie na Kubie i na Trynidadzie, gdzie istnieje całe jezioro samego asfaltu zamiaszt wody. Smołowiec pomieszany z kredą i gliną jest miejscami w Niemczech, w Szwajcarii, Francji, i na wyspie Sytylii we Włoszech. Ten zaś smołowiec, co go używają na dachy, jest to zwyczajny gruby papier mocno napojony smołowcem prawdziwym, na ogniu rozpuszczonym, i posypyany piaskiem. Piasek czyni go grubszy, trwalszy, i chroni od zapalania się w razie pobliskiego pożaru.

Dla uchrony murów od wilgoci, gdy się stawia budowla wysoka i przez to ciężka, najlepiej na wymurowane fundamenty kłaść nie tekturę, ale smołowiec bez papieru i osobno to przyzadzony, pomieszany z innymi odpowiednimi rzeczami. Rozpuścić go należy w kotle na ogniu, dosypywać do niego piasku, i takiej roztopionej, gorącej mieszaniny kłaść na fundament warstwę pół cala grubą. Piec z kotłem do rozpuszczania smołowca kosztuje drogo, do roboty zaś potrzeba ludzi z nią obeznanych. Dlatego kładzeniem rozpuszczonego smołowca nie zajmują się murarze, ale robi to zwykle zakład sprzedający smołowiec. Zakład taki wysyła do miejsca budowy swój piec z kotłem i robotników, a bierze zapłatę od każdego łokcia kwadratowego wykonanej roboty. W Warszawie łokieć takiej półcalowej warstwy smołowca nalepionej na fundament budowli kosztuje 23 kopiejki. Na wsi do tej ceny trzeba doliczyć jeszcze koszt przewozu kotła, smołowca, przejazdu dwóch robotników, i półtora rubla dziennie na ich życie. Latem w ciągu dnia robotnicy ci pokrywają smołowcem 300 łokci kwadratowych fundamentu. Do mniejszej więc budowli sprowadzać ich z piecem nie opłaca się.

Kto buduje na wsi z cegły, z kamienia, lub z piasku dom czy inny budynek niezbyt wysoki, niech dla uchrony od wilgoci pokryje fundamenty tylko dobrą tekturą smołowcową. Trzeba do tego użyć tektury grubiej, oznaczonej w handlu znakiem czyli literą C, — cały jej zwitek kosztuje 4 ruble; albo przynajmniej smołowca ze znakiem 0000 (cztery zera), w cenie 3 rubli i 25 kopiejek zwitek. Takim zwitkiem pokryjesz 40 łokci kwadratowych fundamentu. Pod zewnętrzny zrąb budynku z piasku, 25 łokci długiego, a 15 łokci szerokiego wyjdą dwa zwitki smołowca. Pod wewnętrzne ściany z piasku i pod piec potrzebny jest trzeci zwitek. Kawalki smołowca na fundamenty należy kłaść tak, żeby brzeg jednego zachodził trochę na brzeg drugiego, a spojenia i szpary między jednym i drugim kawalkiem zalać smołowcem płynnym, rzadkim, który sprzedają pod nazwą „smoły gazowej”. Do smoły tej można domieszać piasku.

Smołowiec na fundamentach chroni mur od wilgoci idącej albo z ziemi, albo z wody podpływającej pod budynek. Ale warto jeszcze w budowlach murowanych, zwłaszcza zaś piaskowych, zabezpieczać się i od tej wilgoci, jaka może wkradać się od deszczów długo w sam mur bijących. Dlatego radzę przy budowie dachu dawać jak najszerszy, najdalej wystający okap od strony zachodniej, lub zachodnio-południowej, z której zwykle podczas długiej dzwistej pory wiatr wieje.

A teraz o dachach.

Aby dach budynku pokryć smołowcem, trzeba wpięć zrobić dach z desek zwyczajnych, trzy ćwierci cala grubych, kładąc je na krokwiach, wzdłuż budynku, od okapu aż do szczytu, jedną przy drugiej. Gdy takimi deskami budynek pokryty, na deskach tych kładą się kawalki lub pasy smołowca, i przybijają się do tychże desek gwoździkami o szerokich i płaskich główkach. Jedne płyty smołowca powinny zachodzić brzegami na drugie, wpięć położone, tak, aby woda nie przeciekała. Po obiciu całego dachu, trzeba go pociągnąć jeszcze czyli posmolić raz i drugi smołowcem rozcieńczonym czyli smołą gazową.

Łokieć kwadratowy takiego dachu z całym materiałem, wliczając już i deski, i gwoździe, i robotę, kosztuje około 25 lub 27 kopiejek, więc niedrogo. Dlatego dachy takie bardzo się rozpowszechniają. Ale nie są one bardzo trwałe, rozmiękają podczas upałów, od byle uderzenia drą się, i ptaki je psują potroze. Dla trwałości należy je smolić co dwa lata, a to kosztuje około 5 groszy na każdy łokieć kwadratowy, przez lat zaś dwadzieścia kosztować będzie drugie tyle, co sam dach nowy. A tym sposobem takie niby tanie pokrycie smołowcowe staje się naprawdę droższe od żelaznego, i nawet o wiele droższe. I na upały smołowiec taki nie jest pokryciem dobrą, bo się dość mocno nagrzewa i gorąco bywa pod nim, mało co mniej, niż pod blachą.

Daleko lepszy od tej zwyczajnej tektury asfaltowej jest do krycia dachów wyrabiany od niedawna **asfaltyt**. Jest to także tektura, ale gruba, twarda, i bardzo mocna, a dobrze smołowcem napojona. Asfaltyt sprzedają nie w arkuszach wielkich, ani w pasach, lecz jako dachówki czyli kawalki po 20 cali długie i szerokie. Wygląda gładko, bez porównania piękniej od zwyczajnej tektury smołowcowej, a w wodzie również nie rozmaka. Bezpieczeństwo od ognia daje także samo, jak opisane wyżej pokrycie smołowcowe. W płomieniu zapala się też płomieniem, ale się nie tli po zadmuchnięciu. I od iskier zatlić się ani się zapalić nie może. Dach asfaltytowy jest mocny, lekki, a nie rozmięka i nie nagrzewa się tak w upały, ani stygnie tak w mrozy, jak zwyczajna tektura smołowcowa. Pod dachówki asfaltytowe trzeba także dać najpierw podszycie dachowe z desek gęsto poprzybijanych do krokwi. Dachówki kładą się rzędami, zaczynając od dołu, czyli od okapu, i potem coraz wyżej. Jedna dachówka powinna zachodzić brzegiem na drugą, i przybija się je dość gęsto gwoździkami o płaskich i szerokich główkach do desek. Dachówki leżące obok siebie zachodzą jedna na drugą najmiej na półtora cala; dachówki zaś wyżej zachodzą na niższe powinny na cal. Rzędy niższe i wyżej układane są naprzemiennie, jak kafele albo cegły, to jest tak, żeby jeden rząd zaczynał się zbzegu od całej dachówki, drugi rząd od połowy dachówki rozciętej, trzeci znowu od całej, i tak dalej. Gąsiory do przykrycia całego wierzchołka dachu robią się z takich samych dachówek asfaltytowych, wyginając je po mocnym rozegzaniu w słońcu albo przy ognisku. Po przybiciu dachówek wszystkie ich spojenia trzeba zapomocą patyka z nawiniętą szmatką starannie pozasmarowywać kitem rozegzanym, który sprzedają i rozsyłają razem z dachówkami asfaltytowymi.

Dachówki takie czyli asfaltyt wymyślił pono i pierwszy zaczął wyrabiać rodak nasz, Stanisław Szymanowski. Pierwszą

ich fabrykę założono przed kilku laty w Tymosówce, w gubernji kijowskiej. Druga fabryka, Tomasa Sokolnickiego, powstała w Olkienkach (począ tamże) w gubernji wileńskiej. Właśnie z Olkienik sprowadziliśmy próbkę asfaltytu, aby mieć o nim pojęcie. Przystał też nam pan Sokolnicki zarazem cennik i obietnicę pewnych ułatwień w spełnianiu zamówień, jakie będą do niego przysyłali przedpłatnicy Gazety Świętecznej.

Cena dachówek asfaltytowych liczy się od wagi. Na łokieć kwadratowy dachu trzeba 3 funty i 12 łutów asfaltytu. Pud zaś, czyli 40 funtów, wystarczający na pokrycie blisko 12 łokci, kosztuje 2 ruble i 80 kopiejek w samych Olkienkach z dostawą na tamtejszą stację drogi żelaznej. Można liczyć, że na łokieć dachu wyjdzie asfaltytu za 24 kopiejki. Kitu zaś trzeba za grosz przeszło. Na duży sążeń kwadratowy dachu wyjdzie tego kitu półtora funta; cały zaś pud jego kosztuje w Olkienkach 2 ruble. Łokieć dachu takiego w Wilnie, wliczając koszt asfaltytu, i kitu, i desek, i gwoździ, i roboty, kosztuje 32 lub 33 kopiejki.

Dach taki zrobić potrafi każdy cieśla. Skoro zaś go raz pokryje starannie, dach trwać może bez żadnej naprawy bardzo długo. I tym sposobem koszt dachu asfaltytowego będzie mniejszy, niż pokrycie z tektury smołowcowej.

Posyłając zamówienie na asfaltyt, należy zarazem posłać około trzeciej części tych pieniędzy, jakie wypadać będą za żadaną ilość. Reszta należności pobrana będzie po przysłaniu towaru.

Od przedpłatników Gazety Świętecznej mają być przyjmowane zamówienia choćby najmniejszej ilości, i przytém pan Sokolnicki obiecuje dodawać im kit bezpłatnie, a koszt przesyłki koleją żelazną brać na siebie. Ktoby więc z przedpłatników naszych zamówienie robił, niech powołuje się na Gazetę Święteczną i posyła na dowód kartkę adresową z opaski Gazetowej ze swoim nazwiskiem.

O kryciu dachów innymi sposobami napiszę następnie.

K. Promyk.

Petersburg, d. 15 lipca. Król włoski Wiktor-Emanuel rozpoczynając od lat dwóch panowanie i odbywszy żałobę po ojcu swym, Humbercie, zaczął odwiedzać dwory innych mocarstw. Na początek, w niedzielę dnia 13 lipca, przyjechał do Peterhofu pod Petersburgiem, w odwiedzinach do Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana. W poniedziałek wieczorem odbył się na cześć króla w pałacu peterhofskim obiad, podczas którego Najjaśniejszy Pan przemówił w te słowa:

„Z żywym i głębokim zadowoleniem witamy obecność Waszej Królewskiej Mości. Szczególniej nam jest miło, że Wasza Królewska Mość rozpoczynasz swe podróże od przybycia do Nas. Cała Rossja widzi w tém nowy dowód węzłów prawdziwej przyjaźni, jaka Nas łączy, i przyłącza się do Naszych uczuć. Te uczucia wzajemne, które coraz więcej zaznaczają się pomiędzy Naszymi ludami, sprzyjają rozwojowi związków najpożądanych dla Naszych krajów. Dziękuję serdecznie Waszej Królewskiej Mości za Jego odwiedzin i wznoszę kielich na sławę i szczęście Jego dostojnej Osoby, Ich Królewskich Mości, Królowej Heleny i Królowej Matki, i całej rodziny królewskiej. Piję na pomyślność Włoch.”

Król włoski na to odpowiedział: „Dziękuję Ci, Najjaśniejszy Panie, za

końmi przytrzymał dyszel, aby woza tak nie gnało. Wtém deski zsunęły się na konie, a te przestraszone ruszyły z kopyta. Zbęk dostał się pod konie i wóz, i koło przeszło mu przez głowę tak, że na miejscu trupem pozostał. Osierocił żonę i czworo drobnych dzieci. Miał lat około 40. J. Pyt.

We wsi Bujnach-Księżych osiemnastoletnia dziewczyna, niejaka Podawczykówna, cierpiąca na wielką chorobę, choźąc dnia 27 czerwca po łące nagle dostała drgawek, upadła w kalużę i zalała się. Gdy rodzice przybiegli, już nie żyła. S. G.

Czworo bliźniąt. We wsi Pipalach pod Taurogami włościanka Wołontiejusowa powiła czworo dzieci—dwóch synków i dwie córeczki, wszystkie żywe i zdrowe. Matka również żyje, ale chora. J. M.

Zarządzającym djeczej wileńską mianowany został ksiądz kanonik Wiktor Frąckiewicz, proboszcz parafji Ostrobramskiej w Wilnie.

Rzymscy Chrześcjanie w zaraniu czwartego wieku.

(Ciąg dalszy.)

Cesarz Maksymjan wieczorem po wydaniu wyroku na Sebastjana przeniósł się z Palatynu do pałacu Laterańskiego. Nazajutrz przysłał kogoś do sprawzenia, czy wyrok spełniony. Posłaniec obejrzawszy leżące pod drzewem strasznie pokłute i krwią zbrozone ciało męczennika, poszedł do pana swego świadczyć, że Sebastjan nie żyje i że, według rozkazu, będzie za nadejściem nocy wyniesiony za miasto i wzucony w bystre i mętne nurty rzeki Tybru.

Przekupieni jednak afrykanie, zamiast spełnić ten rozkaz, wydali ciało przystanym od chrześcijan niewolnikom. Krokami zaś tych niewolników kierowała wśród murów Palatynu Irena. Była to chrześcijanka, wdowa po Kastulu, urzędniku na dworze cesarskim, którego sprzątnięto niedawno ze świata za to, że wiarę Chrystusową wyznawał i porzucił jej nie chciał. Do wdowy jednak nie czepiano się jeszcze i mieszkała z córkami do czasu jak dawniej na Palatynie. Pod jej okiem wieczorem, kiedy się ściemniło, wzięli niewolnicy ciało Sebastjana, aby je zanieść na miejsce wiecznego spoczynku, do podziemi chrześcijańskich za miastem. Nie wyszli jednak jeszcze z murów Palatynu, gdy przystąpiła do nich kobieta o czarnej twarzy i szepnęła, że Sebastjan jeszcze żyje. Nie dowierzali jej słowom. Nie dowierzała także i Irena, ale i nie odrzuciła tej tajemniczej wiadomości. Z myślą więc, że może też i żyje, a jeśli żyje, to trzeba mu jak najprędzej dać pomoc i ratunek, zaprowadziła niosących wraz z Afrą do swego mieszkania. Gdy tam na postaniu Sebastjana złożono, posłała jednego z niewolników po Djonizego, który był z zawodu lekarzem, a jednocześnie kapłanem chrześcijańskim.

Djonizy przybył niebawem. Zbadał pokłute ciało i oznajmił, że Sebastjan istotnie żyje, i że rany jego nie są śmiertelne, tylko z wielkiego upływu krwi nastąpiło osłabienie i omdlenie. Po użyciu sposobów lekarskich i przy opatrywaniu ran, męczennik zaczął wyraźnie oddychać, a potem i oczy otworzył.

Gdy się rozwidniło i kończył się czas 24-ch godzin od owego strzelania, Afra pobiegła do swjej pani z wiadomością, że Sebastjan żyje, powiedziała, gdzie jest,

i zaprowadziła ją do mieszkania Ireny. Fabijka przekonała się, że to życie ledwo tleje i bardzo niepewne. Ale słowa dotrzymała. Dała niewolnicy zupełną swobodę i obiecała pieniądze. Wkrótce też w afrykańskich kozarach na Palatynie odbyło się huczne wesele Hifaksa i Jubali.

Fabijka przychodziła codziennie do Ireny i, nie wchodząc do głębi mieszkania, u drzwi wypytywała troskliwie o zdrowie Sebastjana. Zostawiała też pieniądze na lekarstwa i inne potrzeby chorego. Irenie ani przez głowę nie przeszła myśl, że ta troskliwa i dobroczynna osoba jest poganką. Była pewna, że to chrześcijanka. Po paru więc dniach zaprowadziła ją do pokoju, pokazała jej, gdzie Sebastjan leży, i nie tajiła przed nią w rozmowie swjej wiary.

Poraz to pierwszy Fabijka wiedziała, że się znajduje wśród rodziny chrześcijańskiej. I znowu dziwnie jej się to zrazu wydało, że Irena i jej córka, choć chrześcijanki, to jednak są takie dobre, tak troskliwie zajmują się obcym sobie i chorym człowiekiem. Widziała, że Irena jest daleko mniej od niej uczona i ocytana, że nie zna tylu pism, dzieł różnych pisarzy i mędrców; a jednak ma wiele rozumu, że spokojem i godnością znosi ciężką dolę, jest bardzo zacna, szlachetna, i przytém z własnej dobrej woli tak pracowita, jakby jaka niewolnica, co to nad nią z batem ktoś stoi i przynagla, żeby wciąż coś robiła. Z całej dobroci podobna była do Ireny córka młodsza, zule kochająca matkę, posłusna jej, a skromna, a upzejma dla wszystkich, a starająca się ciągle dobrze czynić drugim i bardzo dbała o chorego. Obie te chrześcijanki również się zdziwiły, gdy po paru nieco dłuższych rozmowach z Fabijką odkryły, że ona chrześcijanką nie jest i nie ma o chrześcijaństwie prawdziwego pojęcia. Nie zmieniły się jednak dla niej w niczem, i po odkryciu tém obchodziły się z nią tak samo, jak przedtém.

Zapoznała się Fabijka i ze starszą córką Ireny, ale ta niepodobna już z uczynków, mowy i myśli do matki i siostry. Harđa, krynabna i samolubna, chciała, żeby wszyscy dla niej byli na usługi, jej dogadzali, a sama nikomu nic dobrego nie robiła. Gniewała i niecierpliwilo ją tylko, że chory człowiek zajmuje miejsce w ich mieszkaniu, i że usłużyć mu trzeba.

I bardzo prędko z wielkiem dla siebie upokorzeniem dowiedziała się Fabijka, że ta starsza dziewczyna jest jeszcze, jak i ona sama, poganką. Nie rozważała jednak tego głębiej, bo myślała teraz tylko o Sebastjanie, o jego przewlekającej się chorobie i o jego wybawieniu. Zwierzyła się Irenie, że chce go zawieźć na wieś, do swego majątku, bo tam będzie miał wszelkie wygody i żyć może bezpiecznie pod jakimś zmienionym nazwiskiem, zdala od oczu cesarza i jego dworaków. Podobał się ten zamiar Irenie. Więc powiedziała o nim Sebastjanowi, który już świadomość odzyskał, tylko z osłabienia chodzić jeszcze nie mógł i z ran leczyć się musiał. Lecz ani myśl Fabijki, ani świadomość o tém, że został wybawiony od śmierci, nie ucieszyły go bynajmniej; owszem, smutek czuł tylko i tęsknił tém bardziej do świata innego. On już oddał swe życie sprawie chrześcijaństwa; czuł, iż spełnił to, co mógł, i pragnął już tylko śmierci męczeńskiej. Oddał się w ręce oprawców, przebył męki, męki powolne a straszne, i nareszcie zamknął oczy, aby je tam, wysoko, w świecie wiecznej szczęśliwości otworzyć. I otworzył je, lecz jakież zawód! Jest na tej ziemi, którą już opuszczał. Jest znowu

wśród tego świata, na którym tak łatwo człowiekowi upaść i prawo do zbawienia wiecznego utracić. Nie wyzekał jednak na swój los, milczał i poddawał się z pokorą zżądzeniu Bożemu, a pocieszał się nadzieją, że Bóg tém większą łaską go daży, pozwalając mu dwa razy być męczennikiem i podwójnym męczeństwem na zbawienie zasłużyć.

To też tak odpowiedział Irenie, a za jej pośrednictwem i Fabijce:

— Przez to, com przebył, wolny już jestem od krępujących mnie dawniej względów i więzów. Mam teraz prawo wypowiedzieć śmiało prawdę w oczy tym, którzy nas przesładują. Z prawa tego zrobię użytek, jak tylko będę mógł wyjść ztąd o własnej sile.

Gdy Sebastjan nie zgadzał się ani uciekać z Rzymu, ani się ukrywać, Fabijka, — a właściwie już teraz, od czasu jak jest sama dziedziczką i panią dóbr, Fabja, — umyśliła ratować go inaczej, nie zważając, czy on sam chce, czy nie chce tego. Powiedziała sobie, iż musi to zrobić, żeby cesarz mu przebaczył, życie darował. Myślała, że, tyran czy nie tyran, aleć to przecie człowiek, więc choć odrobina miłosierdzia znajduje się na dnie jego duszy, a niewiasta, obywatelka rzymska, zdoła go czułymi prośbami i łzami wzruszyć. Pocieszała się wreszcie tém, że skoro wolę cesarza, wyrok jego spełniono, i rozstzelany z grobu niemal powstał, to już drugi raz cesarz nie będzie chciał skazywać go na śmierć. Więc napisała do cesarza podanie, aby ją raczył przyjąć i słów jej wysłuchać. Z podaniem zaś posłała przesłizny i niezmiernie drogi pierścień, prosząc, aby tę pamiątkę jej przodków, którą po ojcu odziedziczyła, przyjął łaskawie raczył, jako dowód wdzięczności przywiązania. Daru tego cesarz nie odrzucił, piękny pierścień zaraz na palec włożył, ale Fabji kazał odpowiedzieć, żeby stawiła się jednocześnie z innymi ludźmi, od których będzie podania na piśmie przyjmował u wyjścia z pałacu swojego na Palatynie w dniu 20 stycznia. Fabja ze wstrętem odpowiedź tę przyjęła, widziała w niej upokorzenie, prawie zniewagę, ale postanowiła dla Sebastjana znieść wszystko.

Tymczasem Fulwusz, wciąż podszuczany przez Eurotasa, nie przestawał myśleć o zdobyciu czyjegokolwiek majątku. Na wydaniu Sebastjana zawiódł się, bo prawie nic po nim do zagarnięcia nie pozostało. Więc teraz widzi już tylko jedną drogę, uzepienia się Agnieszki. Najpierw spróbuje prośbą, a może też zgodzi się wyjść za niego. A jeśli nie, to groźby użyje. Przecież od nieboszeczki ślepej Cicyliji wie, że Agnieszka jest chrześcijanką, więc może ją wydać, zaskarżyć. Pize tedy do niej bardzo grzeczny list o swojej niby czi dla niej i przywiązaniu: daj jej blaga ją, żeby go nie odrzuciła i zgodziła się oddać mu swą rękę. Wkońcu zaś dodał, że w razie, gdyby ta jego prośba została odrzucona, będzie zmuszony spełnić swoją powinność. — Agnieszka nie chciała nawet rozważyć, co mianowicie Fulwusz przezwalał tu swoją powinnością. Odpowiedziała krótko, a stanowczo, że jest poślubiona Bogu, więc od nikogo oświadczyn przyjmować nie może i nie będzie.

Gdy nadszedł dzień 20 stycznia, Fabja mając stawać przed cesarzem przywdziała, według zwyczaju, czarną szatę. Przybywszy na Palatyn stanęła u schodów pałacowych w zędkie kobiet i dzieci, które poprzychodziły z podaniami na piśmie, aby

prosić o zmiłowanie nad swojemi synami, mężami, ojcami, lub braćmi cierpiącymi po więzieniach i w kopalniach. Wobec tylu nieszczęśliwych słabła w niej nadzieja pozyskania łaski cesarskiej dla jednego. A gdy dał się slyszec szmer i powiedziano, że cesarz idzie, ogarnęła wszystkich trwoga o to, jaki będzie skutek prośby. I w sercu Fabji nadzieja gasła. Cesarz wychodził z pałacu, aby udać się do ogromnej i przepysznej świątyni, zabawić się tam w najwyższego kapłana i złożyć na ołtarzu ofiarę bogom. Okazywał światu i poddanym, że ma panowanie nietylko nad ludźmi zwykłymi, lecz i nad kapłanami, nad duchownymi. Surowo i z powagą spoglądając, brał kolejno od stojących dwoma szeregami osób podania i oddawał je postępującemu za sobą sekretarzowi. Chcąc mówić nie słuchał, a niektórych głośno zgromił. Był już blisko od Fabji i wyciągnął rękę po nowe podanie... Nagle zadrżał i obejrział się trwożliwie. Usłyszał bowiem z kądś głos jakiś wzywający siebie; głos głęboki, jakby grobowy, ale wyraźny i jakby od strony nieba:

— Maksymjanie! Maksymjanie! umarły wraca, zapowiedź tobie i radę przynosi. Zbliża się dzień gniewu i kary. Krew ludzi w Boga prawdziwego wierzących przelałeś, krew świętych Pańskich! Ciała ich powizuciałeś do rzeki lub do dołów nieczystości. Buzysz świątynie Boga, ołtarze Jego znieważasz, ubogim należne dziedzictwo przywłaszczasz sobie. Za to wszystko, i za inne zbrodnie twoje, za pychę i dciwość Bóg cię sądzi, a gniew Jego spadnie na ciebie. Umiesz jako tyrani umierają! Innego na twoim miejscu Bóg natchnie, łaską swoją obdarzy, a o tobie pamięć na wieki będzie przeklęta. Żałuj, człowieku niegodziwy! żałuj, póki czas jeszcze! a proś Boga, żeby ci przebaczył, póki czas, póki jeszcze czas!

Cesarz Maksymjan słowa te slyszal i rozumiał dobrze, ale zrazu nie mógł zmiarkować, z kąd one przychodzą, ani kto śmie tak mówić do niego. Wrażenie, przestradł język mu skolowacily. On i wszyscy, cały liczny orszak dworaków i wojskowych całej téj przemowy wysluchali w milczeniu. A przy ostatnich słowach twarz mówiącego odsłoniła się, twarz wychudła, blada, ale cesarz i jego blizcy poznali w niej Sebastjana.

— A! to ten!—mruknął cesarz głosem drżącym od przebytego wrażenia. A potem głośno krzyczy:—Hej! dostać się tam, naokoło, od drugiego dziedzińca! Stawić go tu! Hej! Hifaksie! Hifaks! Gdziez Hifaks? dopiero co był tutaj!

Ale Hifaks pierwszy ujął i poznał Sebastjana, a wtedy ani chwili nie czekał. Pomknął do swych koszar i natychmiast postawił całą secinę posłusznych sobie czarnych wojaków z bronią w ręku dwoma szeregami przeciw bramie pałacu, a na końcu obu szeregów sam stanął ze swoją Jubalą przy boku.

— Hej! Korwinie!—woła cesarz.—Ruszać do koszar afrykańskich i przyprowadzić Hifaksa.

Korwin idzie. Ledwo wyszedł za bramę, widzi groźnych Afrykanów, więc drżącym głosem wzywa Hifaksa. A ten odpowiada:

— Powiedz cesarzowi, że Hifaks jest i będzie mu wierny i czi jego cesarską boskość. Ale potem powiedz, że tych stu ludzi przysięgło nie wypuścić z pałacu nikogo; każdy, kto się ruszy, dostanie sto strzał w piersi! I będzie tak do téj chwili, aż cesarz da nam znak niedybnym, że wszystko, co było dotąd, wszyst-

kim nam przebacza, w niepamięć puszcza i żadnego z nas karać nie będzie.

Korwin wrócił do cesarza z odpowiedzią Hifaksa.

— Juchy Afrykany! — rzekł cesarz wysluchawszy.

Namyślał się chwilę, bał się téj seciny, że może na nim spełnić swą groźbę, a jest mu też ona koniecznie potrzebna. Zdejmuje pierścień Fabjuszów ze swego palca, daje Korwinowi i mówi:

— Zanieś Hifaksowi ten dar dla jego żony i powiedz, że to znak przebaczenia wszystkim.

Gdy Korwin stanął znowu przed Afrykanami z wyciągniętą do góry ręką, i, trzymając w palcach pierścień pałający od słońca ogniem drogich kamieni, powtórzył słowa cesarskie, pierwsza Jubala porwała się biedz po ten podarek. Ale Hifaks tak ją w plecy poczęstował, że się na twarz przewróciła, a cała secina luzników w głos się roześmiała. Naczelnik tego oddziału wziął pierścień z rąk Korwina, poszedł przed cesarza i mówi:

— Najjaśniejszy panie, nie moja wina. Taki był rozkaz, żeby go nie zabijać od razu. Myśmy rozkaz wykonali akuracie. Że ożył, to już nie nasza wina, nie możemy odpowiadać za to.

(Co było dalej, podamy za tydzień.)

Powieść napisana pierwotnie po angielsku przez kardynała *Mikołaja Wizemana*. Po polsku obrobił na nowo *K. Promyła*.

Z opisów gospodarstw, zwłaszcza żywności i paszy.

Mieszkam i gospodarstwo mam we wsi Długobozu-Szlacheckim, w parafji zambraskiej, gubernji łomżyńskiej. Ziemi mam 38 i pół morgów, ale w cząstkach rozrzuconych. Z tego 19 morgów jest ziemi ornój, 2 morgi ogrodów, 1 morg i 200 pretów łąki, 15 morgów i 250 pretów lasu i pastwisk mokrych.

Czytać i pisać uczyłem się w szkole początkowej. Gazet i książek czytam wiele, ile mi tylko czas na to pozwoli. Za pomocą nauki pożytek z gospodarki i zemiostwa zwiększyłem pięć razy, choć gospodaruję na samych działkach rozrzuconych między działkami innych gospodarzy, co jest najgorszą przeszkodą do dobrego gospodarowania. Tę naukę i zwiększenie pożytku zawdzięczam gazetom i książkom, a głównie Gazecie Świętecznej, Zozy, i wydawnictwom pana A. Stzeleckiego, jak: Gospodarstwo pastewne, Rok postępowego rolnika, i kalendarzom jego. Mam też spory zbiorek książek wielu różnych pisarzy. Przydało mi się też następnie zwiedzenie wystaw rolniczych i bywanie na posiedzeniach towarzystwa rolniczego w Łomży, do którego zapisałem się na członka.

Rodzina składa się z nas dwojga, to jest mnie z żoną, i jedenaściorga dzieci. Trzymam też trzech uczących się u mnie pszczelnictwa, budowy uli, przetwarzania owoców i miodu, a trochę też ogrodnictwa i gospodarowania. Córka przyjęła trzy panny do nauki szycia. Pasterza mam wspólnego. Z wymienionej rodziny mojej dwoje dzieci jest zdala od domu: syn na praktyce gospodarskiej w dużych dobrach, córka na nauce kapelusznictwa. W domu więc moim przebywa osób 18.

Glebę mam rozmaita: gliniastą, ilastą, piaszczystą, i sapowatą, i z podobnym do wierzchu podglebiem, i przepuszczalną. Pole dzieli się na trzy nierówne części: ugor,

oziminne, i jazyne. Ugor od lat kilku obsiewam. Dzielę go na trzy części: dwie obsiewam roślinami użyźniającymi rolę, do których należą: łubin, ptaszyniec czyli seradela do zaorania i koniczyzna; na trzeciej zaś części ugoru sieją rośliny ochraniające, jak groch, mieszanki i t. p.

Pole jest nierówne, i wynaważam nierówno. Pola największego, 10-cio-morgowego, wynaważam trzecią część, pół zawierających 4 morgi i 5 morgów wynaważam dwie części (ale jakie?). Na morg pod mieszanki wywożę 25 do 30 fur nawozu, a w mniejszych polach daję pół nawozu po koniczyźnie. Nawozu, gdy brak, dokupuję.

Ze zwierząt roboczych chowam parę koni. Roboty wykonywam sam z domownikami.

Bydła mam 6 sztuk: cztery krowy i dwie jałówki. Wołów ani buhajów nie chowam, bo lepiej mi się opłaci nawozu z pobliskich koszar wojskowych dokupić, a część słomy zbywającej sprzedać po 20 kopiejek pud. Krowy mam rasy zwyczajnej, mieszanej. Doprowadzam do buhaji, jakie są w okolicy najlepsze, od krów najmleczniejszych. Od pokrycia płacę od 20 do 30 kopiejek. Do dużych i rasowych straciłem chęć, z przyczyny błotnistego i nieżyźnego paśnika. Kupiłem raz krowę dużą, oldenburską, to na pastwisku się nie najadała, i mleko prędko traciła. Parę razy kupiłem cieląt, ale dostawały motylic i pozdychały od nich. Na wystawie w Lublinie roku zeszłego miałem ochotę nabyć parę cieląt rocznych, jałozkę i buhajka, ale cena dla mnie była nieprzyjętna, bo żądano sto kilkadziesiąt rubli. Krowy trzymam, aby mieć nabiał na domowy użytek.

Cielą się one u mnie w różnych porach, na jesieni, a najwięcej w lutym. Jałozki hoduję, a byczki paro-tygodniowe sprzedaję na rzeź, po 5 lub 6 kopiejek funt żywej wagi. Cielę takie waży od 80 do stu kilkunastu funtów. Żywina w lecie żywi się na pastwisku, w jesieni dodaję siewki ze słomy z nacią z buraków i marchwi, a potem przyzynam końskiego zębu. Przed zimą obliczam, ile i jakiej mam paszy, i czy nie wypadnie mi jakiej dokupić, aby mieć paszę pożywną, mającą dostateczną ilość azotu. Na bydło średnie muszę mieć na całą zimę: słomy różnej—żytniej, pszennej, owsianej, jęczmiennej na podściół i na karmę około 90 pudów; seradeli, koniczyzny, siana, mieszanki 60 pudów; okopowych — buraków, marchwi, kartofli, przynajmniej na 4 miesiące około 120 pudów; i na tyłek czasu otrąb i kuch 7 pudów, a soli 13 funtów na 6 miesięcy. Krowy przed ocieceniem i jałówki dostają po większej części suchą paszę cztery razy dziennie w równych odstępach, 3 razy siewkę ze słomy mieszanej, koniczyzny, mieszanki, seradeli, a na noc słomę mieszaną. Przed samem ocieceniem jak i po ocieceniu daję pół do z kartofli gotowanych, tartych, z przymieszką otrąb zapazonych lub kuch. Daję takie pół do dojeniem, a jeżeli mam kartofli więcej, to i wieczorem. Potem daję buraki i marchew posiekane i pomieszane z siewką taką samą, jaką dawałem przed ocieceniem. Tłukę w korycie zapas na 12 godzin, żeby go starczyło na trzy dawki. Na noc do słomy domieszam siana.

Dla jednej krowy dziennie używam: słomy 8 do 10 funtów, seradeli, koniczyzny, mieszanki i siana — 10 do 13 funtów, okopowych 40 do 50 f., otrąb i kuch 1 do 2 funtów, soli 3 łuty. Dawki najprzód waży i odkładam w jaki koszyk, opakę, albo robię wiązeczki. Otrąb do-

serdeczne przyjęcie i łaskawe słowa, jakie tykoko wystosowałeś do mnie i do mego kraju. Węzły przyjaźni osobistej, która szczęśliwie nas łączy, i dobre stosunki, istniejące oddawna pomiędzy Rossją a Włochami, czynią mi szczególnie przyjemnem te odwiedziny. Przybyciu memu do Petersburga towarzyszy zadowolenie mego ludu, który widzi w zacieśnieniu tych węzłów nową rękojmię pokoju i pomyślności. Przepelniony temi uczuciami, wznoszę mój kielich na cześć Waszej Cesarskiej Mości, na sławę Jego panowania i pomyślność Rossji, na cześć Ich Cesarskich Mości, Cesarzowej Marji Teodorówny i Cesarzowej Aleksandry Teodorówny, i za całą Rodzinę Cesarską.⁷

NOWINY.

O spółce włościańskiej „Jutzenie”.

Wracając z Częstochowy miałem zamiar zapoznać się ze spółką, którą utworzyli włościanie w okolicach Miechowa. Wstąpiłem więc do Pojałowic i odnalazłem tam znanych mi przez Gazetę z nazwiska członków spółki, panów Manterysów. Przyjęli mnie bardzo gościnnie. Mówili mi, co już czytelnikom Gazety wiadomo, w jakim celu spółka została założona i jakie daje korzyści. Założyła ją 29 gospodarzy, aby wspólnie sprowadzać i ulepszać zboża. Każdy z nich złożył 20 rubli wkładu, z czego powstał tak zwany „kapitał żelazny”. Za te pieniądze spółka sprowadza zboże bądź z zagranicy, bądź krajowej hodowli. I naprawdę gospodarze należący do spółki dochowali się pięknego zboża i całą okolicę niem zapomogli. Najbardziej chwala żyto petkuskie i pszenicę wysoko-litewkę, co świadczy, że krajowe odmiany lepsze są od obcych, bo obce prędko się wyrażają. Oprócz tego spółka sprowadza nawozy sztuczne, a szczególnie superfosfat i wapno. Gospodarze, którzy nawozów tych używali, powiadają, że superfosfat tylko na ziemiach zasobnych w wapno działa doskonale, tam zaś, gdzie wapna widoczny brak, „fosforany” słabo skutkują.

Okolica tamta ma bardzo lichą żywność; świnie, krowy, konie są jeszcze w złym stanie. Owóz mnie się zdaje, że spółka, zamiast dążyć w dalszym ciągu do ulepszenia zbóż, powinna wziąć się do ulepszenia ras zwierząt. Kolej mają blisko, więc na świnie i na konie mogą mieć zbyt dobry. A co do krow, to wprawdzie nabiał tam mniej popłaca, ale przychówek może być dobrze zbywany. Radziłbym jednak nie zaprowadzać czystych ras obcych, ale poprawić miejscową przez skrzyżowanie z jaką rasą górską, naprzykład ze szwycami.

Wypada mi powiedzieć, że owa pierwsza spółka włościańska powstała wśród ludzi dzielnych i oświeconych. Czytają dużo i zdrowo na świat patrzają, a całą siłą dążą do dobrego. Niestety, tamtejsze kobiety nie są tym, czém mężczyźni, i nieprędko do tego dojdzie, aby tak jak oni umiływały rzetelną oświatę. Niebrak jednak i tu wyjątków. Dzięki usiłowaniom mężów i ojców, dziewczęta garną się już do nauki. Że mężczyźni są tu naprawdę mądzy, świadczy o tym już na wstępie zamilowanie ich do swojego ubioru. Nie tylko nie zazucili pięknego krakowskiego stroju, ale się nim szycą.

Jedno tylko mię tam razilo, to, że choć rolę mają tak urodajną, żywią się nadzwyczaj nędżnie, i jeść gotują tylko raz

na dzień. Sądzę jednak, że czasem i to u nich zmieni się na lepsze.

Podróżny Jan Z.

Ze wsi, w której młodzież rozumna. Wszystkim mieszkańcom wsi Blizocina w powiecie łukowskim przyjemnie było, że Gazeta Święteczna ogłosiła światu dobrą uchwałę tutejszej młodzieży. Mnie również ucieszyło wydrukowanie tej wiadomości; ale jednocześnie i przykro mi się zrobiło, bo ktoś, nie wiem dlaczego, nazwał mię właścicielem dworu, kiedy jestem synem włościanina, zamożnego gospodarza w Drażgowie. Mógłby kto pomyśleć, że wbijam się w pychę i chcę uchodzić za coś innego, niż jestem zeczywiście. A przecież tak nie jest. Cała parafia mię zna i wie, że jestem włościaninem-obywatelem, i niczem więcej być nie chcę.

Sebastjan Red.

Z Krasnegostawu w gubernji lubelskiej. W poprzedniej Gazecie pisano o pożarze, który nawiedził nas nocą z poniedziałku na wtorek 7-go lipca. Jako świadek naoczny, posyłam o tém bliższe wiadomości. Pożar wybuchł w kamienicy z kościołem się stykającej, gdzie są koszary wojskowe, szpital i miejsce zabaw oficerów. Ogień szeryl się gwałtownie, kierowany lekkim wiatrem w stronę kościoła. Rozesłano strażników konno po wioskach, aby budzili śpiących, i zaczęto dzwonić we wszystkie dzwony jak w wielką uroczystość. Ludzie zbiegali się ze wszystkich stron, a widząc niebezpieczeństwo grożące kościołowi, spieszyli z pomocą, aby nie dopuścić doń wroga, który wszystko pożera. Na głos trąbki pożarnej pospieszyła też straż ogniowa ochotnicza, gotowa jak oddział żołnierzy walczyć do upadłego z wrogiem zagrażającym miastu.

Lud, zachęcony słowami księdza Rudzińskiego, z wielkim zapalem dostarczał wody, a inni pod kierunkiem księdza dziekana Majewskiego wnosili rzeczy kościelne. Inni jeszcze na klęczkach błagali Boga o pomoc w niebezpieczeństwie. A było wielkie i blizkie, bo już zapalał się dach na kaplicy. Aż wreszcie po siedmio-godzinnym wysiłku zdolano ogień uśmierzyć. Cała parafia wdzięczna jest straży ogniowej za uratowanie kościoła. A osobliwie wielkie Bóg zapłać składa nazelnikowi straży ogniowej Wincentemu Certowiczowi i pomocnikowi jego Mieczysławowi, oraz „feldfelowi” Wojnarowskiemu. Kościół ogień nie uszkodził, tylko na kaplicy dach został trochę nadwężony. Po stłumieniu pożaru rzeczy kościelne odnieśli napowrót z procesją sami strażacy, śpiewając „Kto się w opiekę poda Panu swemu”. Odprawiono też nabożeństwo na podziękowanie Panu Bogu za ocalenie kościoła, a w niedzielę 13-go lipca ksiądz dziekan przesłał z kancelnicy podziękowanie wszystkim, którzy pracowali około ratowania kościoła.

T. Sm.

Nowe straże ogniowe utworzyły się w mieście Jędrzejowie, w gubernji kieleckiej, i w miasteczku Rydwale pod Koninem w gubernji kaliskiej.

Jeszcze o buzach, które nawiedziły kraj nasz w dniu 1-ym lipca, dochodzą z różnych stron liczne wiadomości. Buze te szły widocznie pasem niezmiernie szerokim, bo narobiły szkód jednocześnie nie tylko w środku kraju, ale i w północnych, i w południowych okolicach.

We wsi Rybitwach na powiśle lubelskim piorun uderzył w odnawiany obecnie kościół parafjalny; nie uszkodził go

jednak, ale jednego z rzemieślników przy robocie, Piotra Semborowicza, katolika, zabił, a drugiego, Józefa Chaima Korenberga, widocznie żyda, osmalił. Na folwarku w Honiatyczach w powiecie tomaszowskim, gubernji lubelskiej, pożar od pioruna zżądził szkód na dziesięć tysięcy rubli.

Grad wielkości śliwek zbił zboże we wsiach: Zbigniewicach, Niedzwicy, Joachimowicach, Ryłowicach, Strączkowie i Chobzanach w powiecie Sandomierskim, gubernji radomskiej.

Również grad i pioruny poczyniły zniszczenia w gubernji plockiej, w powiatach: plockim, lipińskim i sierpskim, jako też, choć mniejsze, w rypińskim, mławskim, ciechanowskim i przasnyskim.

W Broku nad rzeką Bugiem w gubernji łomżyńskiej piorun spalił 8 stodół, 3 chlewy i trocha żywności. W samym powiecie łomżyńskim było w dniu owym pięć pożarów od piorunów: w Truskach spaliły się trzy budynki; w Pączkowie cztery stodoły czterech gospodarzy Żebrowskich i obora, w Andrzejkach budynki trzech gospodarzy Boguskich; w Konopkach piorun zabił Nikodema Żebrowskiego.

Nowe buze przechodziły we czwartek 10-go lipca, kiedy przypadała pamiątka męczeństwa siedmiu synów Św. Felicjy. W Zamczku koło Radomia padał grad wielki jak kuze jajo, w Kiedzynie piorun ranił włościanina, w samym Radomiu i Zamłynie wichry wyrwały i przewracały dzewa. Podobnie działo się w powiecie grójcekim, gubernji warszawskiej. Pioruny były i w okolicach Warszawy.

Na pograniczu Szlązka w okolicy Sosnowca straszna buza szalała dnia tego po południu niemal godzinę. Szkód narobiła wiele. We wsi Milowicach z trzech budynków należących do Towarzystwa Sosnowieckiego zerwała dachy, a do jednego domu wpadł piorun, obleciał izbę i wylatując napowrót komin rozwalił. Pod Starym-Sosnowcem również z trzech kamienic dachy pozrywało, przyczém w jednej z nich nawet kawał muru runął. Dużo dzew zostało wyrwanych z korzeniami i innych szkód wiele wichry narobił. *J. O.*

I gminę Ożarówce pod Siewierzem w tychże stronach nawiedziła w tenże sam czwartek kłeska. Dzień był pogodny, w sam raz na sianokos. Cieszyli się gospodarze, bo przedtém ciągle deszcze przeszkadzały. Miałem i ja, który to piszę, siano skoszone na dwóch łakach, ale nie mogłem go dosuszyć. Ucieszyłem się więc, że już przecie doschnie. Aż tu o godzinie trzeciej po południu nadchodzi chmura, która widzę jeszcze gdzieś nad Szlązkiem. — Ha! — myślę sobie, — deszcz siano zaleje. Ale chociażbym chciał iść sam je składać, to trudno, bo od domu do łaki prawie dwie wiorsty. Zdaje się na wolę Boską. Ale chłopaki się uwinęły, siano przed deszczem w kopy złożyły. Wtém powstaje okropny wiatr, porywa kopy i rozzuca po świecie. Chłopaki nie wiedzą, co robić. Każdy stara się przynajmniej aby jedną kopkę uratować. Kładą się więc każdy na swojej kopce, ale wiatr wyrwa je i ich samych razem z sianem chce zabrać. Rzucają się więc na ziemię i kapelusze biorą pod siebie, żeby ich wiatr nie zabrał, a z sianem niech się ta już stanie, jak chce. I stało się, że całe kopki pozabierał wiatr w świat, że nawet śladu nie było, gdzie która stała. Resztę, czego nie zabrał, to porozwalał, więc i tak nie z tego siana, bo je deszcz zamoczył. Niema w Ożarówicach ani jednego gospodarza, żeby nie był poszkodowany. W sąsiedniej wsi Tapkowicach tak samo kopy wiatr pozabierał i wozy z sianem

poprzewracał. Gdy m tę chmurę zobaczył, wyszedłem na podwórko i usłyszałem okropny szum. Zdawało mi się, że to w sąsiedniej wiosce, bo aż ciemno się nad tą wioską zrobiło. Ale przysłuchuję się, że ten szum w górze, i już nad naszą wioską. Już słyhać i trzask łamiących się drzew. Huragan łamie topole, gruze, lipy, brzozy, a nieborakowi Walentemu Lubasowi dom przewraca. A cóż dopiero w lasach wyrabia! Niektórym gospodarzom po sto drzew nałamał i nawywracał. Przeszło dwa tysiące rubli szkody mamy w lasach. Bo to u nas każdy ma swój las. Dochodzi 40 lat, jakieśmy się okupili. Na szlaskiej stronie również szkody ogromne. Tam jest piękny porządek: niema drogi bitej, żeby nie była drzewami obsadzona, i to ogromnemi, rozroslemi topolami. Otóż wichur te topole poprzewracał i drogi niemi pozawalał tak, że nie było można w żadną stronę jechać. Przez dwa dni musieli tam z dróg drzewa uprzętać.

A. G.

We wsi Rogowie pod Kazimierzem na powiśle lubelskim srożyła się w tymże czasie burza, jakiej podobno nikt tam jeszcze nie pamięta. Około godziny pół do piątej nadociągnęła chmura, a z nią ogromna szarańcza, która spadła na ziemię i wyrządziła duże szkody w lasach, sadach i na łąkach. W lesie należącym do dworu Karczmiś burza narobiła dużo spustoszeń, wyrwała około 50 chojaków, a wiele innych na pół połamała. W sadach nie będziemy mieli co zbierać, bo wszystkie owoce z drzew postrącane. W mieście Kazimierzu w jednym sadzie osiemnaście drzewek zostało złamanych. Na polach, dzięki Bogu, niema dużych szkód, ale siano leżące na pokosach i w kopach niewiadomo dokąd burza zaniósła. Gospodarz Mateusz Kaczor grabił właśnie siano, a gdy nawałnica nadeszła, schował się pod kopę i tę jedną ocalił, gdyż swoją siłą ją utrzymał. A reszta niewiadomo dokąd została zanieśiona. Trwało to niecałą godzinę. Stał się też i wypadek. Wincenty Kaczor jechał z pola z koniczyną. Droga szła z góry. Bojąc się, żeby się fura nie wyrwała wśród wyrw i dołów, które woda pędząc z góry porobiła, zahamował koła i trzymał mocno furę. Wtem noga mu się poślizgnęła. Nieborak pada pod wóz, a koło tylne łamie mu nogę w samej kostce tak szkaradnie, iż kość na wierzch wyszła. — Przed ową burzą państwo Soltanowie z Polanówki wybrali się z dziećmi i piastunkami pieszo w góry do źródeł prawie o trzy wiorsty odległych od dworu. Gdy burza nadeszła, wszyscy we dwoje byli o nich bardzo niespokojni. Ogromna woda puściła się z tych właśnie gór, i jużśmy myśleli, że ich porwała do Wisły. Aż dopiero wieczorem przyjechali tuzem bryczkami ledwo żywi.

Ur. Chodol.

Nad miastem Wartą w gubernji kaliskiej przeszła ta burza zaraz po południu. Od piorunów wszczął się prawie jednocześnie pożar we wsiach pobliskich Glinie i Głaniszewie. I tu i tam spaliły się budynki gospodarskie.

W. W.

O urodzajach. W okolicy Siewierza, na południu gubernji piotrkowskiej, oziminy są bardzo piękne; jęczyny, groch, kartofle też niczego. Dzięki Bogu, burza, która nawiedziła te strony 10-go lipca, nie urodzajom nie zaszkodziła. Tylko siana będzie mniej niż w przeszłym roku.

A. G.

W okolicy Krasnegostawu żyto wyrosło dość duże, tylko na owsiskach jest trochę gorsze. Pšenica też piękna, ale tylko ona ugorach, w kartofliskach zaś niebardzo

się udala. Jarzyna piękna. Koniczyzny nadzwyczajne i pogodnie zebrane, bo chociaż przez cały maj i czerwiec ciągle deszcze przechodziły, ale w czasie sianokosu jakoś ustały, tylko było dość chłodno. Kapusta pięknie rośnie.

T. S.

Narady w sprawach rolnictwa.

Rząd utworzył ostatnimi czasy w Petersburgu osobną radę, aby zbadała najważniejsze potrzeby przemysłu rolniczego i obmyśliła sposoby podniesienia gospodarstwa. We wszystkich też gubernjach ustanawia rząd tak zwane komitety miejscowe, żeby zbadały położenie rolnictwa w swoich stronach i zebrane wiadomości wraz ze swemi uwagami i wnioskami przesyłały do Petersburga. Komitet taki został świeżo utworzony w gubernji warszawskiej. Do spraw, które ma on rozważyć, należą: rozszerzenie wiadomości rolniczych, zaprowadzenie nauczycieli gospodarstwa, nagradzanie i podawanie za przykład wzorowych gospodarstw; doświadczenia i zaznajamianie rolników z ich wynikami; walka z wrogami rolnictwa i szkodnikami; sposoby zmniejszenia pożarów i rozpowszechnienia budulec niepalnego; ochrona od szkód ulepszeń rolniczych i zachęcanie gospodarzy do nich; ochrona własności rolnej; ułatwienie zamiany rozrzuconych działków na całkowite osady; budowa i utrzymanie dróg; poprawki w prawie co do dzierżawy; sprawa pożyczek dla gospodarzy i pożyczek na ulepszenia rolne; spółki gospodarskie; rozpowszechnienie ulepszonych sposobów gospodarowania, lepszych narzędzi, maszyn, nawozów i popieranie wyrobu tych rzeczy; podniesienie hodowli bydła i ptactwa, rozwój gospodarstwa mlecznego; ulepszenia w innych gałęziach gospodarstwa wiejskiego; popieranie i rozwój wytwarzania rzeczy mających związek z rolnictwem i powiększających korzyści z gospodarstwa; uporządkowanie handlu wytworami rolnymi, urządzenie składów zboża; rozważenie opłat kolejowych; zwiększenie wymiany wytworów pomiędzy różnymi miejscowościami państwa i urządzenie bezpośredniej dostawy płodów rolnych na potrzebę rządu; popieranie przemysłu wiejskiego; wreszcie uporządkowanie stosunku pomiędzy gospodarzami a robotnikami.

Tyfus. W okolicach miasteczka Szyrwint w powiecie wileńskim od połowy zimy panuje tyfus. Najprzód zaczęli chorować żydzi w miasteczku, a potem roznieśiono chorobę i po wsiach, gdyż ludzie kupowali różne rzeczy w domach i sklepach, gdzie byli chorzy, a nawet pili tam i jedli. W taki sposób niejedną zaniósł do domu chorobę, która później rozchodziła się po całej wsi i wielu ludzi sprzątnęła ze świata. Głównym powodem roznoszenia zarazy była ciemnota. Gdyby ludzie wiedzieli, w jaki sposób choroba taka przenosi się na zdrowych, jak należy się jej wystrzegać, to daleko mniej ich chorowałoby i umierało. Ale gdzie tam! Oni nie ciekawi ani tego, ani innych pożytecznych wiadomości. Do czytania trudno kogo zapędzić. Jeden nie czyta Gazety, bo woli przepić te trzy ruble; drugi chce te pieniądze przyłączyć do zgromadzonej już setki lub tysiąca; inny powiada, że nie ma czasu czytać gazet. Szkoda, że tacy ludzie nie chcą nawet pomysłać nad tem, ile to ich kosztuje ciemnota.

K. S.

Duszące uloty. We wsi Niwce pod Sosnowcem, ze wsi na miasto teraz przemienionym, są przy kopalni zwaną „Jezy” duże zawałiska otoczone liną drucianą. Otóż w jednym z tych zawałisk otworzył

się dawny szyb czyli zejście do kopalni, i otworem tym wydobywają się z głębi smrodliwe uloty. We wtorek 1-go lipca syn górnik Leona Szeka, 14-letni Józiek, posł koło zawałisk tych kozy i bawił się z innymi chłopakami w strzelanie z procy. Swawoląc chłopcy przerwali linę drucianą koło zawałiska i wrzucili weń procę Józka. Ten niewiele myśląc spuścił się po owęj linie do podziemia, aby procę swą wydostać, ale nie wraca już ztamtąd. Brat jego starszy, Stanisław, lat 17-tu, był na kolejce, którą wożą węgiel z kopalni. Dowiedziawszy się, że Józiek spuścił się do zawałiska, pobiegł go ratować. Spuścił się za nim po tej samej linie, ale, niestety, i sam już ztamtąd nie wrócił. Zbiegli się zaraz ludzie, lecz ratunku dać nie mogli. Dopiero pobiegł ktoś z wiadomością do kopalni. Zaraz przyjechali strażacy z drabinami i jeden z nich, Bronisław Golczyk, spuścił się do podziemia. Ale nie mógł chłopców wydostać, bo mu zaduch oddech tamował. Dopiero założyliśmy mu na głowę przyrząd do oddychania, do którego powietrze wpompowuje się przez rurki gumowe. Wtedy spuścił się powtórnie do podziemia i wydobył jednego z braci. Po drugiego spuścił się górnik Michał Heniec. Ale obaj chłopcy byli już nieżywi. Przywieziono ich do szpitala lecznicy w Niwce. Doktor wziął się do ratunku, lecz już było zapóźno. Dostali się tam po godzinie jedenastej, a wydobyto ich o godzinie pół do pierwszej w obiad. Pogrzeb ich odbył się w piątek 4-go lipca. Ksiądz Franciszek Gola odprawił nabożeństwo żałobne i wypowiedział piękną mowę. Ja, który to piszę, byłem świadkiem nauce wypadku, który poraził biednego Szeka naraz dwóch dorastających synów.

A. W.

Złe wychowanie. W mieście Parczewie, w gubernji siedleckiej, powiesił się dnia 12 czerwca w więzieniu na kracie u okna Jan D. Był to młodzieniec lat 22-letni. Pozostawił żonę z małym dzieckiem i rodziców, u których był jedynakiem, i który go nad życie kochali. Cóż go zaprowadziło do więzienia, co popchnęło do tego, że sam sobie śmierć haniebną zadał? Jedyną pono przyczyną, dla której zmarnował swe życie i duszę zatracił, było nierozumne, ślepe przywiązanie, jakim go rodzice otaczali. Dzieci im się nie chowały, co które przybyło, to i umierało. Gdy więc Jaś nakoniec się uchował, nie wiedzieli sami, jak go pieścić, jak mu dogadzać. Na wszystko mu pozwalali, co chciał, to robił, gdzie chciał, siedł, a rodzicom się zdawało, że drugiego takiego jak ich syn niema w całym Parczewie. Nie głębił dąbka, póki był młody i cienki, a gdy urósł i zgrubiał, to już nie dał się nagiąć. Próznował więc, pił, grywał w karty, aż przegrał i przepił cały majątek ojca. A gdy ojcowego niestało, to zaczął się brać do sąsiedzkich. Do czasu dźban wodę nosił, aż w końcu ucho się urwało. Schwytano go na uczynku, gdy dźbiał skraść utuczonego wieprza. Nie mógł się wykreścić; trzeba było iść do więzienia. Wtedy, zamiast znieść z pokorą karę zasłużoną i starać się nadal poprawić, nieszczęsny ze wstydu życie sobie odebrał. Niech ten wypadek będzie nauką dla innych.

J. K.

Różności z listów. We wsi Węglinie pod Kraśnikiem w gubernji lubelskiej gospodarz Grzegorz Zbęk wioził w sobotę 5 lipca do domu deski kupione w Modliborzycach. Pod samym już prawie domem trzeba było zjechać z dość wysokiej góry, więc zsiadł z wozu i idąc przed

kupuje u młynarzy po 40 do 50 k., makuch używam nie zawsze. Rzepak wyciskam na olej na post, a siemię lniane na pokost, który mi jest zawsze potrzebny do malowania. Makuchy rzepakowe płacę po 75 do 80 kopiejek pud, lniane 90 kop. do 1 rubla i 20 kop.

Cielę roczne sprzedaje się za 20 mniej-więcej rubli, jałówkę za 30 r., krowy po 45 do 50 r. Krowy sprzedaje, gdy mają lat 10, lub czasem starsze. Kupują we wsi do chowu, płacąc 35 r. i więcej. Jałówki cielą mi się po trzech latach, bo wcześniej nie puszczam. Krowy zwykle chowam do lat 10.

W ostatnich dziesięciu latach bydło chorowało mi raz na zapalenie pyska i racic. Leczę sam według książek Sobolewskiego, Oknińskiego, Haubnera. Cielę ssie 8 tygodni. Przez tydzień po ocieleniu krowę wydajam, a cielę poje po palcu. Następnie dodaję mączki rozgotowanej z siemienia lub kudy. Po 9 tygodniach mlęka nie daje, tylko pójkę z samych kudy lub mączki, następnie pasternak rozgotowywam i dodaję go coraz więcej. Do jedzenia daję sianko najładniejsze, groch gotowany naprzemian z owsem pogniecionym w stępie, z dodatkiem szczypty soli. Po 12-tu tygodniach owsa już nie gniotę.

Mleko zużywa się przy takiej licznej rodzinie tylko w domu. Po ocieleniu krowy dają po 3 garnce dziennie. Dojść przestajemy wtedy, gdy dają po pół kwarty, na sześć tygodni przed ocieleniem.

Hodowla świń. Zwyczajnych, białych świń mam 5; z tych dwie prośne. Jedną kupiłem mieszaną angielską, która okazuje się znacznie lepszą, bo lepiej się tuczy i lepiej rośnie. Chciałem na wystawie w Lublinie kupić parkę czystej rasy angielskiej, ale cena dla mnie była niedostępna. Żądano 60 rubli za parkę. Karmię daje żona, karmnym kartofle gotowane z domieszką marchwi, a czasem buraków, z o-sypką. Wychodzi kozec żyta, pół korca jęczmienia i ćwierć grochu. Karma daje się im 4 razy na dzień, w równych odstępach czasu. Plewnym dają się w zimie plewy zapazone na noc z obierkami, z dodatkiem ospy; w lecie—zielsko, z dodatkiem tym samym. Prosięta dostają mleko, maślanke, żyto, później kudy, kartofle z ospą. Utrzymujemy je czysto, podściół dajemy starannie. Sprzedaję ma-ło, bo przy licznej rodzinie karmię po większej części tylko na swój użytek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Konstanty Długoborski.

GOSPODARSTWO.

Motylica wątrobowa.

I mnie i innych gospodarzy w naszej okolicy trapi ciężka kłeska. Oto gdy nastanie lato wilgotne, jak naprzykład w tym roku, żywina nam choruje i wiele sztuk pada. Przy badaniu zwierzęcia zdehłego okazuje się w wątrobie jakieś robactwo płaskie, barwy zielonej, nakształt drobnych listeczków. I robactwo to, i chorobę, którą ono sprawdza, nazywają motylicą. Otóż proszę o odpowiedź, czy niema sposobu, żeby zwierzęta od tej choroby zabezpieczyć. K. I.

Motylica jest to robak zielonawo-żółtawy, płaski, podobny do listka, o małej główce wciśniętej w szyję, i pyszczku z przyrządem do ssania.

Robak ten zalega się w wątrobie, pęcherzu żółciowym i przewodach żółciowych zwierząt. Najwięcej lubi gromadzić się u

bydła i owiec; zdarza się jednak, że następuje i konie, i świnie, i zwierzęta dzikie, a nawet u człowieka w wątrobie się zalega. W niektórych latach motylica szerzy się okolicami, jak zaraza.

Choroba z początku postępuje zwolna, i trudno ją rozpoznać, bo żadnymi szczególnymi znakami się nie ujawnia. Gdy jednak jest już rozwinięta, wtedy można ją poznać po następujących mniej-więcej objawach: Zwierzęta są nędzne, osłabione, skórę mają bladą lub zażółconą, oczy sine, język brudnym klejem powleczony; są osłabione, ociężałe, pozostają w tyle za trodą, nie mają chęci do jedzenia. Wełna na zwierzęciu traci jędrność, za pociągnięciem palcami wyłazi, żeby ruszają się, brzuch jest rozdęty, z nosa i oczu wypływa brudno-ropiasta ciecz, na ciele pokazuje się obzmienie, następuje biegunka i śmierć.

Choroba zjawia się najwięcej pod koniec lata, pada zaś od niej najwięcej zwierząt przy końcu jesieni i na początku zimy.

Po przecięciu wątroby padłego zwierzęcia znajduje się w niej roje motylic gnieźdzących się w rozszerzonych rurkach żółciowych wątroby. Sama zaś wątroba jest stwardniała, opuchnięta, powiększona, blade-żółtawa.

Choroba ta czepia się zwierzęcia tylko w takim razie, gdy ono z paszą lub wodą połknie zarodek motylicy. Strzedz się więc trzeba pasania żywiny na pastwiskach mokrych, niskich, zacienionych, gdzie rośliny przy ziemi wyrastają. Nie dawać też paszy zanieczyszczonej, albo mokro zebranej, bo zarówno na mokrem pastwisku, jak i w paszy takiej mogą się znajdować zarodki motylicy. Zarodek taki, połknięty przez zwierzę, dostaje się z żołądka do krwi, osiada w wątrobie, i tu z czasem przekształca się na dojrzałą motylicę, wywołując długotrwałą chorobę, która w końcu śmierci sprawdza.

Zwierzęta dotknięte motylicą trzeba przedewszystkiem dobrze żywić, gdyż pokarm pożywny i zdrowy zabija te robaki, jest dla nich jakby trucizną. Oprócz tego należy przygotować i dawać następujące lekarstwo: Kozenia tataraku, liści piołunu, wrotyczu i soli kuchennej cztery części, sady z dzewa (z komina) jedną część, oleju terpentynowego i oleju z zwierzęcego pół części. Zmieszać to wszystko z sześciu częściami mąki z prażonych żołądzi, i z taką ilością sroty jęczmiennej, i dawać kilka razy w ciągu tygodnia: owcy na raz po łyżce stołowej, a krowie, wołowi, lub koniowi po dwie, a nawet po trzy łyżki na raz. Zamiast tego lekarstwa można też dawać przez parę tygodni po 20 kropel nafty z pół szklanką wody wapiennej.

Dobrym również lekarstwem na tę chorobę jest mieszanina kości palonych, dziegciu, smoły, dzikich kasztanów, zielonych lupin orzecha włoskiego, kory dębowej i oleju z jeleniego rogu.

W każdym razie tam, gdzie motylica poczęła się szerzyć, najlepiej zwierzęta choć trochę niedomagające zaraz tuczyć na zabicie; bo mięso ze sztuk chorych i skutkiem tego już wychudłych jest niesmaczne, a nawet szkodliwe. Weterynarz R. S.

Jak spulchnić ziemię.

Mam kawałek gruntu w niskim miejscu. Ile ja się z nim zawsze nazmagam! Okopałem go rowami, ale i to mało pomaga. Ziemia wygląda jakby trocha siwa, ilasta i grochowata. Jak tylko przy mokra, to zaraz lgnie do pługa, wałkuje się pod nim, i wysadzi pług z ziemi, że

niesposób orać. A jeśli poczekać, żeby przeszła, to zaraz robi się twarda, że znowu pługa wrazić niemożna, i porozsydła się tak, że noga włazi w szpary rozszchlęj ziemi. Otóż proszę o radę, co zrobić, aby była lżejsza do uprawy. A. K.

Aby taką ziemię rozpulchnić i zrobić łatwiejszą do uprawy, radę na zimę poorać w wysokie redliny, spędzając dwie skiby do kupy. W potwożone tak brzo-ny nawieźć ziemi torfiastej, piasku, i wapna palonego ze 20 centnarów na mórg. Zbronować i poorać wpoprzek w drobniutkie skiby. Tym sposobem wytworzy się powierzchnia pulchna i łatwa do uprawy. Pamiętać przytém, żeby dobrze nawieźć słomiastym gnojem i dodać ze 2 do 3 centnarów superfosfatu. A. Strzelecki.

Zwierzchu czarna, spodem piasek.

Ziemia jest z wierzchu 8 cali czarna, a dalej żółty piasek. Nawożę ją obficie co trzy lata i orzę głęboko, a jednak urodzaje są bardzo lichy. Proszę mi wskazać, jakiego nawozu mam użyć na ten grunt. S. T.

Na grunt taki, oprócz nawozu zwierzęcego, dać na początek silny nawóz sztuczny, a mianowicie: sześć centnarów żużli Tomasa, i sześć centnarów kainitu na 1 mórg 300-prętowy. A. S.

PSZCZELNICTWO.

Zarządzałem pasieką dworską w dobrach Żabięj-Woli w powiecie lubelskim. Przybywszy tu w roku 1898 zastałem dwanaście rojów w kłodach. Ponieważ miałem objąć rad pasieką dozór całkowity, a robota w kłodach mi się nie podobała, postanowiłem założyć obok tej drugiej pasiekę. Zrobiłem sobie w pierwszym roku dwa ramowce pomysłu Lewickiego i jeden bezdenek. Wziąłem trzy roje z pasieki kłodowej, a prócz tego złapałem dwa wędrownie. Ale te dwa nie dożyły do Popielca. Pozostały mi więc w nowej pasiece tylko trzy roje. W roku 1899 podzieliłem je i miałem już sześć. Następnego roku podzieliłem tylko pięć rojów: rok był bardzo liche, a trzeba wiedzieć, że okolica, w której gospodaruję, jest dla pszczół bardzo niedobra. Jednak miałem już owego lata parę pudów miodu. W roku 1901 podzieliłem dziewięć rojów. Tej wiosny miałem już 20 rojów. U nas kto nie zna sposobu dzielenia rojów, to z rojów naturalnych nie dozeka się dobrej pasieki. Ludzie tu nie znają wzorowego prowadzenia pszczół, jak w stronach lubartowskich. Co do mnie, gdym doszedł do dwudziestu rojów, postanowiłem z nich już większą korzyść ciągnąć. Dwa roje miałem niezdatne do dzielenia, więc tylko miód od nich wzięłem; cztery inne, chociaż dzielone, były jednak dosyć muszne, więc i od nich miód podebrałem. Uznałem, jakem mógł, swoim sposobem, miodarkę, i z tych sześciu rojów wzięłem miodu około dwunastu pudów. Właściciel pasieki sprzedał go po 6 rubli za pud, a mnie było przyjemnie, że pasieka, prowadzona według wskazówek uzonych i prawdziwie dobrych pszczelarzy, dobrze się opłaca.

Wszystkim też wam, bracia pszczelarze, radę: nie słuchajcie głupich, zabobonnych ludzi. Żadne gusła, żadne zabobony ani funta miodu w pasiece nie przysporzą. Kto chce mieć z pszczół korzyść prawdziwą, niech słucha rad rozumnych przyjaciół. A mamy ich przecie aż trzech: Gazetę Świąteczną, i dwie książki Lewickiego: „Pszczelnictwo” i „Ul gospodarski”. One nas uczą, jak prowadzić wzorowo pasiekę. Ja

święcie ich słucham. Więc choć mi zaboboni pszczałaze mówili, żebym nigdy nie dochodził na pogrzeby i nie wynosił nieboszczyków z kościoła lub z domu, bo to wszystko niby pszczołom zaszkodzi, — ja wszystko to robię, a przy Bożej pomocy i mojej dbałości pszczoły mi się wiodą.

Szymon B.

LISTY do Gazety Świątecznej.

Z Takwaralu w krainie
Paranie, w Brazylii.

Najpierw pozdrawiam szanownego pisarza Gazety Świątecznej i życzę mu od Pana Jezusa najobfitszych błogosławieństw w rzeczach duchownych i doczesnych; a przytém dziękuję, że mi przysłała Gazetę i elementarze, i że poprzedni mój list umieścił. Dziś posyłam zapowiedziany ciąg dalszy. Spóźniłem się nieco z napisaniem tych słów, ale przy pracy o czas trudno, a gdy się nawet chwila swobodna znajdzie, to tutejszy skwar, upały czynią każdego przybyśza z Europy ociężałym i niezdolnym do myślenia.

W pierwszym mym liście zapowiedziałem, iż proboszcz nasz, ksiądz Józef Fuliński, długo między nami nie wytrzyma. Tak się też i stało; był między nami zaledwo rok i trzy miesiące. W sierpniu roku zeszłego pożegnał nas ze łzami w oczach; pomimo obelg, jakie znosił, pomimo zadawanych mu przykrości, pomimo skarg zasyłanych na niego do biskupa, niechętnie opuszczał naszą parafję, bo wiedział dobrze, że nie wszyscy parafjanie są mu niechętni, ale zaledwo kilku jest takich pochlebnych wrogów, i to przeważnie Brazyliczyków. Ci właśnie byli najłodszy, bo, jak to mówi przysłowie: „Przyjaciel zawsze dobitnie prawdę ci w oczy wytnie, wróg cię pochlebstwem mroczy, a czerni tylko za oczy”. Ale przy pożegnaniu wytknął owych wrogów swoich, a raczej całej parafji: Oto ci, którzy w niedziele i święta nie uczęszczają na nabożeństwo, i nie mają sobie tego za obowiązek; ci, którzy najmniej przychodzą do kościoła, ale schodzą się do szynków, drwinkują sobie z kościoła i z obyczajów religijnych i t. d., a księży biskupa za równego sobie uważają, i wciąż knując zdradę listy do niego posyłali. Ale ksiądz Fuliński przyobiecał nam, że będzie się starał wcześniej czy później do nas wrócić. Biskup zaraz przeznaczył nam księży Władysława Smoluchę, który już był na probostwie w naszej parafji. Prawy to i gorliwy kapłan, ale na wstępie został u nas tak przywitany, jak ojciec od niedorosłego i hardego syna. Zaraz też powiedział, że gdyby był przewidział, że tu ludzie tak zdziczeją, to z pewnością by do nas nie przyjechał. A do dnia dzisiejszego to nieraz już mówił, że gdy się nie poprawią, to przecież i on z nami ślubu nie brał. Złe jest, że ludzie doszli już do takiego wynarodowienia, iż swego duszpasterza nie umieją uszanować, ani chrześcijańskimi słowami powitać i cieszyć się, że do nas przybył, do nas, gdzie żniwo jest wielkie i dojrzale, a żniwiarzy mało. — Ach, ciężki będzie sąd Boży dla tych, co na kapłana swego rzucają obelgi takie, których by uczciwy człowiek nie śmiał powiedzieć nawet w karczmie ostatniemu pijakowi. Cóż to

za niegodziwość na to używać języka! Język jest narzędziem mowy, tak, jak na przykład organy są narzędziem muzycznym. Organy są ręką mistrza ziemskiego zrobione na to, aby wygrywać pobożne pieśni kościelne. Można z nich jednak wszelką melodję wydobyć: ładną lub brzydką, wesołą lub smutną. Zasiadzie przy nich znakomity organista: tak będzie grał pięknie, że aż serce się weseli; zasiadzie partacz: trzeba uszy zatykać. Język ludzki to również narzędzie, organ, jeno nie ręką człowieka sporządzony, ale ręką samego Boga. Na co? Aby głosił słowa dobre i rozumne, aby za pośrednictwem jego można było podawać ludziom naukę zdrową do rozrywki i zbudowania służącą, aby porozumiewać się z ludźmi, aby wreszcie mózł złożyć w spowiednicy ciężar grzechu; słowem, na to, aby Boga chwalić, a ludziom w dobrem pomagać, a nie szkodzić. Wtedy można zeczywiście przyrównać język do organu. Bo i ten cały świat jest jednym wielkim kościołem. Jego sklepienie to sklepienie niebieskie, światło — to lampa słoneczna na niebie, księżyc i gwiazdy; podłoga — to śliczny kobierzec kwiatów, krzewów, drzew wszelkiego rodzaju; ołtarz — to serce człowieka (na tym ołtarzu powinien człowiek swoje namietności zabijać na ofiarę Boga); a muzyka w tym kościele świata — to zachwycający śpiew ptasząt, szum drzew, szum rzek, mózł... Najładniejszym jednak narzędziem muzycznym duciał Bóg mieć język człowieka, aby i słowem i pieśnią głosił chwałę Najwyższego. Człowiek od młodości powinien się kształcić, aby jak najdoskonalej grać na tém Bożém narzędziu. Ale cóż z tego! Grają ludzie i grają, od rana do nocy, a jeszcze i w nocy, — ale ta muzyka to tak często partactwo, przed którym każde poeciwsze ucho stroni, a przy której szatani piekielne wyprawiają tany. Z jakich to utworów składają się te popisy szatańskie? Oto ich rozkład: 1) obmowa, 2) oszczerstwo, 3) kłamstwo, 4) bluźnierstwo, 5) przekleństwo, 6) gzeszne przysięganie, 7) oszukaństwo. Te siedem kawałków wygrywa język ludzki znakomicie jakby na pamięć. Nietrzeba być biegłym muzykiem, aby ocenić, co ta muzyka warta.

W naszej parafji Św. Mateusza zostało założone w dniu 27-y października bractwo Św. Józefa, które składa się dotychczas z 64-ch członków.

Dobry to początek, bo prawie wszyscy członkowie wyzekli się wódki (kaszasu). Szkoda tylko, że mała nasza kapliczka nie może nas wszystkich pomieścić; aż połowa ludu zgromadzonego na nabożeństwo stoi poza ścianą. Lidia to jest owa kapliczka, aż serce się kraje, bo prawie bez dachu, który już zgnął. Wprawdzie budujemy nowy kościół obszerny, ale budowa postępuje bardzo wolno z braku pieniędzy. Na to brak pieniędzy, ale znajdują się one na zabawy, zbytki, na niedzielne muzyki, które u nas tak się rozpowszechniły, że prawie co niedziela młodzież sprowadza muzykę i starsi się także schodzą, i hasają aż do rana. A do tego zwykle bywa dobry poczęstunek. Niejeden dogadując swoim zachciankom traci całotygodniowy, a czasami i całomiesięczny zarobek.

Kto ma chęć szczerą, to jakiś grosz na ofiarę zawsze znajdzie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nowinki telegraficzne z różnych stron świata.

Ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.
Nowy-Jork, d. 15. W kopalni węgla pod miastem Dżonstounem w stanie czyli krainie Pensylwanji wydarzyło się w zeszłym tygodniu straszne nieszczęście, jakich w kopalniach amerykańskich corok, niestety, bywa po kilka i więcej. Wybijając tam węgiel w lochach głęboko pod ziemią, ludzie często trafiają niespodzianie na takie miejsca, z których wybucha mnóstwo ulotów duszących i palnych. Ponieważ zaś w kopalniach są zawsze lampki niezbędne do oświetlenia ciemności, więc od nich uloty te zapalają się. I ludzie się duszą i palą. Co prawda, dla większego bezpieczeństwa używają tam i lamppek tak uzależnionych, że od ich płomieni uloty owe nie mogą się zapalić; ale cóż z tego, kiedy węgiel kamienny wybija się za pomocą wystzeliania dynamitem lub prochem, który ogniem zapalić trzeba i ogniem wybucha. Od tego strzelania, jak znowu i od zapalania fajek lub papierosów wybuch i zapalenie się ulotów palnych nastąpić może. Zdarzyło się to i pod Dżonstounem niedaleko od miasta Pitsburga. Nastąpił straszny wybuch, od którego zginęli wszyscy ludzie pracujący w lochach owej kopalni. A było tam wtedy tych pracujących prawie dwustu. I, co dla nas jeszcze smutniejsze, byli to prawie sami rodacy nasi, Polacy. W pierwszym dniu wydobyto 90 trupów.

Z Grenlandji, ogromnej krainy, największej wyspy na ziemskim świecie, leżącej na północno-wschodzie od Ameryki, pod biegunem północnym, nadeszła wiadomość o śmierci wielce zasłużonego tam człowieka, Larsa Melera. Był to Eskim, jeden z tych do niedawna jeszcze napół dzikich krajowców, którzy w liczbie około 10 tysięcy głów zamieszkują południowo-zachodni, cieplejszy nieco brzeg Grenlandji. Tam śnieg taje latem i ziemia na parę miesięcy pokrywa się trawą i mchem zielonym, tam też jedynie są siedziby ludzkie. Oprócz Eskimów mieszka też tam garstka Duńczyków z Europy, którzy na tym kawałku Grenlandji panują. Oprócz tego pasa ziemi, cała Grenlandja pokryta jest zimą i latem grubą skorupą lodu i nie spotkasz tam prawie nigdzie przez rok cały nawet żółbla trawki, ani usłyszysz głosu ludzkiego. Eskimowie, naród ciemny, półdziki, żyją z rybołówstwa na mozu i z polowania na zwierzęta morskie, fok, i na zwierzęta lądowe. I Lars Meler był za młodu takim samym ciemnym, nieoświeconym człowiekiem, jak wszyscy jego rodacy. Ale, lat temu z półkopy, przybył do Grenlandji na czele wyprawy naukowej sławny podróżnik szwedzki, Nordenszyld. Pragnąc zbadać wnętrze Grenlandji, wziął on młodego Melera za przewodnika po tej lodowej i śnieżnej pustyni. Wyprawa trwała około roku. Cały ten czas Meler był przy Nordenszyldzie i również oświeconych jego towarzyszach. Podróżnicy polubili go, bo był chłopakiem roztroptym. Widząc, że radby wszystko wiedzieć i pojmovać, czego przedtem nie znał i nie widział, udzielali mu chętnie objaśnień i nauczyli go czytać na książce. Kiedy w ten sposób dowiedział się o wielu ciekawych i pożytecznych rzeczach i rozjaśniło się mu w głowie, postanowił tém światłem dzielić się

Na dwóch stronicach dodanych, 9 i 10, dzisiejszej Gazety mieszczą się:

Dalszy ciąg now. tel., Ofiary,
Zagadka, Ceny, Ogłoszenia.